

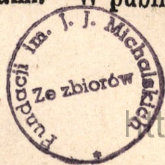
Michrenicz

KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Od A. E. Odynca.

Z ciekawością i zajęciem najwyższém odczytałem w przeszłym zeszycie Biblioteki Warszawskiej *Kronikę zagraniczną*, jak stary żołnierz zapewne odczytywałby relacją o tém, co się działo w obozie przeciwnym, podczas odbytej dawno kampanii, w której on sam czynny brał udział. *Zwierzenia Ewuni*, opowiedziane przez jej przyjaciółkę, rozjaśniły mi wiele szczegółów i rzeczy, których się mogłem może w swoim czasie domyślać, ale nigdy wiedzieć z pewnością; tak jak i ona nawzajem nie wiedziała i nie wie dotychczas, co się działo w obozie naszym, którego (jak sama wspomina) ja byłem parlamentarzem—nie z poleceń Adama, ale z mego własnego natchnienia; traktującym nie z nią, ale z matką. Nie wie pewnie naprzykład, że jedynie to moje parlamentarstwo sprawiło, że nie wyjechaliśmy z Rzymu natychmiast po pierwszej dostrzeżonej zmianie w uprzejmości pana hrabiego, którą żona jego przezemnie usprawiedliwiła jako zwykły i częsty paroksyzm *spleenu*, wynikającego z choroby. Nie wie, że ten projekt nagłego wyjazdu wznawiał się po razy kilka, i że raz już doszło było do tego, że musiałem zacząć pakować rzeczy, łamiąc głowę jak temu zapobiedz. I wtenczas to właśnie miałem ową rozmowę z matką, o której jest wzmianka w *Zwierzeniach*, a w skutek której zostaliśmy w Rzymie. Nie czuję się w prawie mówić tu o tém obszerniej. Zachowuję też imię „*Ewuni*,” chociaż sama autorka *Zwierzeń* wyznaje: „że świat inaczej przywykł ją nazywać,” ani śmiem zmieniać początkowej litery nazwiska, tylko że sam jej używać tu nie będę, i zastąpię ją trzema gwiazdkami. W publikacyi nawet listów moich z podróży,



INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

8527
00330
Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

pisanych do najbliższych przyjaciół, chciałem całkiem opuścić ten przedmiot; ale teraz, gdy *Zwierzenia* samęj Ewuni zwalniają mię z tego skrupułu, odsyłam do nich ciekawego czytelnika, w miarę jak kiedyś z kolei ogłoszone zostaną w „*Kronice Rodzinnéj*.” Tutaj to jedno tylko powiedzieć chcę i powinienem: że jak nigdy cień żaden interesowanęj rachuby nie skaził uczuć ani myśli Adama, tak pierwszy cień dostrzeżonych przezeń w tym względzie podejrzeń, był niestety pierwszą przyczyną owęj zimnéj i hardéj dumy z jego strony, któręj wpływ, gdy już nie było komu jęj łagodzić, musiał téż wzajem oddziaływać jątrząco — i o to się wszystko rozbiło. Sprawiedliwość jednakże każe mi tu przytoczyć jeszcze jeden szczegół, jako rzucający niemałe światło na cały ten dramat, który *Zwierzenia* samęjże Ewudi wyprowadziły na widok i na sąd publiczny.

Rodzice jęj i ona sama byli w Dreźnie po wyjściu już na świat „*Pana Tadeusza*,” gdzie i ja się z nimi natenczas poraz ostatni widziałem. Ewunia sama wspomina, że jęj ojciec *bardzo* na mnie był łaskaw, a pamięć przyjaźni i zaufania matki i jęj samęj zaliczam do najdroższych wspomnień mego życia. Otóż hrabia razu jednego, gdyśmy byli sami wieczorem, ujął mnie za rękę, i rzekł: „No, cóż panie Edwardzie? Pan Adam opisał mnie w *Stolniku*.” — Zmięszakłem się i nie wiedziałem co mam odpowiedziéć; a kiedy wreszcie chciałem coś wyjąkać, dodał: „Daj pokój! to już się stało. Gdybyś pan był przyjechał z nim na drugą zimę, możeby było inaczej. Każdy ojciec ma przecież prawo, żeby mu się o córkę *klaniano*.” Mówiąc to był mocno wzruszony. Ile w tém było szczeroci, ja nie wiem; ale powtarzając te jego słowa, czuję, że spełniam obowiązek sumienia względem pamięci hrabiego. Kontrastują one zbyt ostro z przytoczonymi w *Zwierzeniach*, aby nie obudzać domysłu, że były wyrzeczone z intencją dopięro wtedy, kiedy już żadnych następstw wywołać nie mogły; ale téż bardzo być może, że hrabia znając zbytnią może otwartość swojęj żony i jęj słabość dla córki, chciał się przed nią okazać twardszym niż był w gruncie duszy, i że względniejsze i miększe postępowanie z drugięj strony, przy wpływie uczuć ojca i męza, mogłoby może w końcu usunąć przeszkody, które tylko nierówność majątku stawiła. Bóg wie jeden gdzie tu jest prawda; ale téż nie można nic przyznać, że i ojciec miał swoję słuszność.

Ale nie to jednakże jest głównym celem tego mego listu; idzie o rozjaśnienie lub sprostowanie kilku jeszcze szczegółów *Zwierzeń*, w interesie prawdy i osobistości Mickiewicza.

Pierwszym z nich, najznikomszym napozór, ale najważniejszym w istocie, ważniejszym może nawet nad wiele rzeczywistych wypadków w życiu poety, jest sen, sen *Ewuni*, wspomniany wprawdzie w *Zwierzeniach* (str. 455), ale naprzód mylnie co do czasu, a powtóre tak lekko i w takim tonie, jakby to był najzwyczajniejszy wypadek. Jeżeli sama *Ewunia* miała go za taki, znak to jest tylko, że nie musiała wiedziéć o sprawioném przezeń wrażeniu, i to

mi także tłumaczy, że mogła łatwo, po tylu latach, zapomnieć o niektórych szczegółach tej sceny, różniącej się nieco w jej opowiadaniu od tego, co mi o niej opowiadał sam Adam. Powtarzam bowiem, że w życiu Mickiewicza jest to wypadek tak wielkiego znaczenia, że w nim przyszedł jego biograf może, a nawet powinien szukać klucza do rozwiązania zagadki wielu późniejszych stosunków i okoliczności jego życia, tych zwłaszcza, które ściągnęły nań tyle przeróżnych sądów i zarzutów, a między niemi i nazwą *mistyka*, w ujemnym tego słowa znaczeniu. Gdyż *mistyryzm* prawdziwy, to jest tajemniczość i cudowność, tak nierozdzielnie związane są z wiarą, że bez nich sama najświętsza religia nasza byłaby tylko *nauką moralną*.

Autorka *Kroniki Zagranicznej* na str. 455 mówi: „Atmosfera tego domu (państwa ***), oddziaływała na Mickiewicza. Strona religijna, cokolwiek może przytępiona, silnie zadźwięczała w jego sercu.” — Jest w tém istotna prawda; i w jednym z jego poematów, scena dwóch młodych panienek, modlących się za nawrócenie niezajomego poety, jest odbiciem realnego faktu, o którym się autor, z mocnym wzruszeniem, z ust matki *Ewuni* dowiedział; to jest, że i sama *Ewunia* i kuzynka jej, panna Marcellina, postanowiły modlić się codzień na tęż intencją względem niego. Ale było to zaraz po poznaniu, w jesieni 1829 roku; stanowcza zaś przemiana w jego usposobieniu religijném nastąpiła dopiero podczas drugiego pobytu jego w Rzymie, to jest w zimie między 1830 a 1831 rokiem. Jakie mianowicie przyczyny bezpośrednio wpłynęły na to, z pewnością powiedzieć nie umiem; sądzę wszakże, że towarzystwo i ścisła przyjaźń z księdzem Chołoniewskim, o którym zawsze ze czcią i tkliwie wspominał, najwięcej w tém miały udziału. Pytałem go o to nieraz, za spotkaniem się znowu w Dreźnie, w początkach 1832 roku, ale mi nigdy na to nie odpowiedział wyraźnie, mówiąc tylko w ogólności o *Easce*, i że „*Spiritus Dei flat ubi et quando vult.*” Ale o śnie *Ewuni* mówił, a mówił w takiej chwili i w taki sposób, że zamiast osobnego opowiadania o tém, pozwolisz, panie redaktorze, iż przytoczę tu wyjątek z listu mego do p. Lucyana Siemieńskiego, który właśnie niedawno, na żądanie jego, w tymże samym przedmiocie pisałem.

„Wszystkie zwykłe wieczory (w Dreźnie) przepędzaliśmy razem we czterech: Adam, Garczyński, Domejko Ignacy i ja, albo u mnie, albo u Adama, który mieszkał naprzeciw przez wązką tylko uliczkę *Töpfer Gasse*. Razu jednego w marcu, mieliśmy zéjść się u niego; ale tymczasem przed samym wieczorem powstała tak straszna burza, taki wichur, ulewa i grzmoty, że ani Garczyński, ani Domejko nie przyszli, ja zaś, chociaż tak blizki sąsiad, pozostałem na noc u niego, nie chcąc ani być sam w takiej burzy, ani jego samego zostawiać. Burza ta jest pamiętna w Niemczech. Nie wiedzieliśmy wtedy jeszcze, że to był dzień śmierci Götthego, ale sam wpływ takiej burzy i nocy oddziaływał na nastrój rozmowy. Wspomnienia Rzymu i panny H. (*Ewuni*), stanowiły główny jej przed-

miot. Adam był mocno wzruszony. Chodził szybko i długo w krąg izby, puszczając gęste kłęby dymu z fajki, którą palił. Nagle rzucił ją na stół, a zbliżywszy się ku mnie, i wpatrując się we mnie tym swoim przenikającym wzrokiem, który i pan zapewne pamiętasz, rzekł: „Powiem tobie rzecz jedną—ale przysiąż, że póki ja żyję nie powtórzysz nikomu!”—Łatwo pojąć wrażenie, jakie to na mnie sprawiło. On zaś, to znowu chodząc, to zatrzymując się przedemną, opowiedział mi w sposób przerywany, to, co tu panu w treści memi słowy powtarzam. Po długiém niebywaniu, poszedł nakoniec do spowiedzi w Rzymie. Nie powiedział o tém nikomu. Poszedł do małego kościołka *fuori delle mure*, (nazwiska nie pamiętam), gdzie już przedtém nieznanomego wcale sobie kapłana-sta-ruszka na pewną godzinę zamówił. Powróciwszy do domu, z Tomaszem à Kempis w rękę, gotował się przez część nocy do świętej Komunii nazajutrz. Wprost z kościoła zaszedł, jak zwykle, do państwa ***. Ledwie wszedł, pani domu powitała go temi słowy: „Czy pan wiesz, jaki H. (Ewunia) miała dziś sen o panu?”—Panna H. porwała się z przerażeniem, chcąc zapobiedz dalszemu opowiadaniu matki, a gdy to było napróżno, zarumieniona i zalana łzami wybiegła do drugiego pokoju. Pani *** opowiedziała mu wtedy, że zaraz po północy córka obudziła ją mówiąc: „Ach! mamol! jaki ja dziwny miałam sen o panu Adamie. Śnił mi się cały w bieli, w sukni jakiejś długiej do ziemi, i bawił się z białym barankiem, którego trzymał na rękę.”—Toż widzenie, téj saméj nocy, powtórzyło się raz drugi nad ranem; poczem już panna H. resztę nocy spędziła na modlitwie i poszła na mszę pierwszą do bliźkiego kościoła. „Gdyby piorun spadł u nóg moich, nie przeraziłby mnie tyle.” Są to własne słowa Adama, których niepodobna zapomnieć; a twarz jego tak była drgająca i blada, głos tak zmieniony i drżący, że podobnego wzruszenia nie widziałem w nim nigdy. W dalszej z tego powodu rozmowie, powiedział między innemi: „Gdybym poczuł, że powinienem, leżałbym krzyżem na środku kościoła, choćby po mnie wszyscy deptali.”

Panie redaktorze! Z przytoczenia tych słów mego listu, mo-żesz pan zgadnąć łatwo, jak mnie ta rzecz głęboko obchodzi; a bio-rę Boga na świadka, że wszystko co w nich mówię jest prawdą. Wzywam więc szanowną autorkę *Kroniki zagranicznej*, aby raz je-szcze zapytała o to saméj Ewuni. Ja mówię to tylko, co słysza-łem z ust samego Adama; on mówił, co słyszał od matki. A i rzecz sama z siebie godna jest ze wszech względów jak najściślejszego rozjaśnienia. Mam przeto nadzieję, że szanowna autorka *Kroniki*, na to moje wezwanie, w piśmie téż pańskiem odpowiedzieć zechce.

Przechodzę do sprostowania kilku pomniejszych szczegółów z czasu pobytu w Genewie państwa *** i Mickiewicza ze mną.

Na str. 470, autorka *Kroniki* mówi o Zygmuncie Krasińskim i o nas w ten sposób, jakoby on znał się już z domem państwa ***, przed powrotem naszym z podróży pieszej w Alpach Berneńskich; kiedy przeciwnie, on razem z nami całą tę podróż odbywał, a za

powrótem dopiero ja pierwszy zapoznałem go z państwem ***. Szczegół ten czuję się w obowiązku sprostować tém bardziej, że sam kiedyś na inném miejscu szerzej o tój podróży pomówić zamierzam. Zygmunt K. bawił już może od roku w Genewie, gdyśmy przybyli tam dnia pierwszego sierpnia 1830 roku, idąc pieszo z Medyolanu przez Simplon. Po kilkudniowym odpoczynku wybieraliśmy się w dalszą podróż piechotą w Alpy Berneńskie, gdzie się także wybierał i Zygmunt; tylko, że *marszeruta* jego, zatwierdzona już listem przez ojca, była w kierunku wręcz przeciwnym naszemu. Rzecz bardzo naturalna, że i on i my także chcieliśmy raczej podróżować razem; ale trzeba było przełamać naprzód opór szanownego jego mentora, p. Jakubowskiego, który choć sam był twórcą swego planu podróży, ale po zatwierdzeniu go przez Generała, sam już przemieniać go nie chciał. Po długich rokowaniach i prośbach stanęło nakoniec na tém, że Adam napisał list do wspólnego przyjaciela naszego Waleryana Krasińskiego, a ja do samego Generała, przepraszając go za zmianę z naszój przyczyny marszeruty Zygmunta, który w ten sposób stał się naszym towarzyszem podróży.

Podróż ta trwała całe trzy tygodnie, od 14 sierpnia do 4-go września 1830 roku, a ja przy samém jój zaczęciu o mało się nie utopił w Lemanie, i to wprost z łaski Ewuni. Mówię téż tu o tém dla tego tylko, że to ma związek z jój sprawą, i że ją w pewnym względzie rozjaśnia. Ze *Zwierzeń Ewuni* wiadomo, że państwo ***, opuściwszy Rzym z zamiarem wracania do kraju, w drodze zmienili projekt i udali się do Paryża. Zawiadomiony o tém Mickiewicz, prosił o napisanie ztamtań *poste restante* do Genewy, i zaledwośmy tam przybyli, wyprawił mnie po list na pocztę. Tymczasem listu nie było, a zaszłe w końcu lipca wypadki w Paryżu, tak wzmogły jego niepokój o los rodziny państwa ***, że to wyraźnie oddziaływało na zdrowie i opóźniło najmniej o tydzień wyprawę naszą w góry. Codzień po dwakroć na przemian dowiadywaliśmy się na pocztę, i zawsze równie naprzóżno. W sam dzień wyjazdu Adam poszedł raz jeszcze, zostawiwszy mnie z rzeczami na statku parowym, na którym mieliśmy płynąć do Vevay. Zajęty zdaniem tych rzeczy, nie dostrzegłem jak wrócił i zszedł do kajuty. Tymczasem zadzwoniono raz pierwszy i drugi. Nie wiedząc co mam począć, czy iść go szukać, czy odpłynąć bez niego, machinalnie wybiegłem na brzeg. Wtém zadzwoniono raz trzeci, i w téjże chwili Adam wyszedłszy z kajuty ukazał się na pokładzie. Był błądy i zmieniony okropnie; zgadłem że listu nie było. Chciałem wracać — ale już statek poruszać się zaczął, i co gorsza ściągnięto deski, które go z brzegiem łączyły. Szczęściem Zygmunt znał kapitana, który na prośbę jego kazał zwiesić z pokładu jakieś drewniane wschodki, czy drabinkę, na które ja wprost z mostku przybrzeżnego skoczyłem, i za pomocą podanej mi ręki Zygmunta i jego kamerdynera Jana, szczęśliwie dostałem się na pokład. Ale dość się było usiłować, aby wpaść do jeziora, pod statek.

Pozostają mi jeszcze do sprcstowania dwie rzeczy, o toalecie i zegarku Adama. Ze słów szanownej autorki *Kroniki*, czytelnik mógłby mylnie wnioskować, że się Mickiewicz *elegantował* dla przydobobania Ewuni, albo że kazał wyryć swój herb na zegarku, dla *zaimponowania* hrabiemu. Oto są owe słowa:

„Ewunia spostrzegła wielką zmianę w jego powierzechowości. Dotąd zaniedbany cokolwiek w ubraniu, teraz nadzwyczaj był staranny, prawie wytworny. W Genewie, kraju zegarmistrzów, kupił piękny zegarek; kazał na nim wyryć herb *Poraj*, ozdobiony mitrą książęcą. (Mickiewiczze mają mitrę w swym herbie). Oglądali wszyscy ten zegarek, oglądał i hrabia. Może być, że Adam chciał tym sposobem przypomnieć, że *Poraj* ma prawo stanąć w parze z *Habdankiem*.” (Herb państwa ***).

Otóż mam za obowiązek oświadczyć, że w tych słowach jest razem i najzupełniejsza prawda, i największa nieprawda; prawda co do samych faktów, nieprawda, co do ich znaczenia. A oto jak się rzecz miała.

Adam przez całą pierwszą zimę w Rzymie chodził w tém samym ubraniu, które przywiózł z sobą z Petersburga. Było ono porządne i czyste, ale nakoniec ku wiośnie zaczęło potrzebować odmiany. Adam chciał to skutecznie zaraz w Neapolu, gdzie się finanse jego zapomogły znacznie. Odwiodłem go od tego argumentując logicznie: naprzód, że nowe odzienie nie jest potrzebne do podróży po górach szwajcarskich latem; powtóre, że sukna francuzkie lepsze są od włoskich, i nakoniec potrzebie, że po rozstaniu się ze mną w Genewie, będzie dość miejsca w tłómoku na pomieszczenie tej nowej odzieży, na którąby teraz trzeba było nowy tłóмок kupować, i transport jego w dyliżansach opłacać. Za przybyciem więc naszym do Genewy, p. Symon Klustin, dobry nasz znajomy, a przytém sam wielki elegant, zajął się tym sprawunkiem Adama, podobnie jak siostra jego, panna Anastazyja (późniejsza hrabina Circourt), przyjaciółka i korrespondentka wszystkich najznakomitszych podówczas w Europie poetów, artystów i uczonych, zwana przez nich dziesiątą muzą, a szczerą wielbicielek Adama, zajęła się wyborem zegarka u znajomego sobie zegarmistrza. Ale to wszystko było wtedy, kiedy się nam jeszcze ani śniło o spotkaniu się z państwem *** w Genewie. List samój pani hrabiny, donoszący o tém Adamowi, otrzymał on dopiero w Lucernie, gdzie mu go panna Anastazyja odesłała z Genewy, a w ślad za tém sama do Bernu o nastąpieniem już przybyciu państwa *** doniosła. Rzecz zatem bardzo naturalna, że *Ewunia* za pierwszym spotkaniem mogła być uderzona tą zmianą w toalecie Adama, a jest to już podobno w naturze wszystkich na świecie panienek, że wszystko w wielbicielach swoich lubią odnosić i stosować wyłącznie do siebie. Co zaś do herbu, ten, zamiast cyfry, doradziła panna Anastazyja, a wyryty on został podług starój pieczętki, którą Adam miał jako pamiątkę po ojcu, i która sama zapewne musiała być podług herbarza. Ze mitra mogła zwrócić czyjaś uwagę, nie idzie zatem, ażeby sam *Poraj*

przywiązywał do niej jakie znaczenie, tém bardziej, że mitry podobne (nie książęce państwa rzymskiego, ale *kniaziowskie*), mają herby wielu bardzo rodzin litewskich.

A teraz skończywszy sprostowania, które miałem sobie za obowiązek, pozwolisz panie redaktorze, że dołączę tu jeszcze krótki dodatek, to jest opowiedzenie faktu, mającego związek z poprzedniem, a który nie będzie zapewne bez interesu dla przyjaciół i wielbicieli autora *Irydyona*. Świadkiem, a raczniej współbohaterem jego, był mieszkający obecnie w Warszawie pan hr. August Zamoy-ski, przyjaciel i kolega ówczesny Zygmunta Krasieńskiego w Gene-wie. Wpływ tej wzajemnej przyjaźni, miarkując w wielu razach zbyt ni podoł poetycznej fantazyi Zygmunta, nie mniej tóż często przyjaciela jego do udziału w jej pomysłach pociągał. Otóż Zygmunt K. na uczenie państwa ***, w których domu wraz z nami był codziennym gościem, na kilka dni przed ich odjazdem z Gene-wy, umyślił wyprawić dla nich fajerwerk na jeziorze. Było to dnia 3 października 1830 roku, w niedzielę. Czas był prześliczny, błękit nieba bez chmury, księżyc świecił w pełnej pogodzie, jezioro było ciche i gładkie jak zwierciadło. Towarzystwo złożone z około dwudziestu osób, dam i mężczyzn, w dwóch dużych barkach, z przy-wiązaną do jednej z nich własną łódką Zygmunta K., mieszczącą w sobie fajerwerki, odbyło naprzód dość długą przejażdżkę po je-ziorze; poczem dwaj młodzi przyjaciele, przesiadłszy się do owiej łódki, odpłynęli na pewną odległość i rozpoczęli spektakl. Kilka rac wyleciało wspaniale; kilka *świec rzymskich* z gwiazdami dopaliło się szczęśliwie do końca; aż nareszcie fatalny *młynek* zatrząsł iskry do środka łódki i zapalił złożoną w niej na dnie resztę pyrotechnicznych przyrządów. Szczęściem nie wszystkie zajęły się od razu, a massa fajerwerkowa paliła się bez gwałtownych wybuchów. Zawsze jednak płomień i iskry buchały kłębami z dna łódki, a na ich tle, obaj nieustraszeni bohaterowie tej sceny, podskakując co chwila do góry, porywali gołemi rękami i wyrzucali do wody zatłone już race i świece, przyczem wkrótce pan August musiał także rzucić na wodę zwierchnie swoje ubranie, które na nim palić się zaczęło. Między fajerwerkami był *burak*, to jest puszka z blachy żelaznej, zawierająca szmermele, mające tworzyć przy końcu tak zwany *bukiet*, koronę widowiska. Gdyby ogień dosięgnął *buraka*, wybuch jego rozsadziliby łódkę. Wiedząc o tém i ja i Adam, nim barki ku niej zdołały dopłynąć, wołaliśmy co siły z daleka: „burak! burak!” Pan August z blizka powtarzał toż samo, radząc co prędzej wrzucić go do wody. Ale pan Zygmunt o tém ani słyszeć nie chciał. Okrył go tylko swoim zwierchniem odzieniem, a połączonym usiłowa-niom obu młodych przyjaciół udało się nakoniec, jakkolwiek z po-paleniem rąk i odzieży, nim barki na pomoc zdążyły, powyrzucać do wody wszystkie sztuki ogniem zajęte. Burak tylko pozostał nietknięty. Wszystkie damy błagalnym chórem, wszyscy starsi po-ważną radą, starali się zapobiedz wypuszczeniu jego; ale wszystko było napróżno. Łódka odbiegła szybko od natrętnych doradców;

a świetny i płomienisty wulkan gwiazd i szmermelów, uwieńczył powodzeniem niefortunną z razu przygodę. „*Finis coronat opus!*” Temi słowy tryumfujący p. Zygmunt powitał uspokojonych widzów, którzy ich obu jeżeli nie laurem, to przynajmniej szalami i płaszczami okryli.

P. S. Na żądanie przebywającej obecnie w Warszawie córki Adama Mickiewicza, pani Maryi Goreckiej, dodaję tu jeszcze jedno sprostowanie, z powodu wzmianki w téjże *Kronice Zagranicznej* o małżeństwie jój rodziców, będącej mniej więcej powtórzeniem innych téż o tém wspomnień i relacji, ogłoszonych gdzieś indziej. We wszystkich ziarnko rzeczywistej prawdy tak jest przypspane błędnymi szczegółami, że przez to i cała rzecz sama w myślnem przedstawia się świetle. Zamiast więc prostować je pojedynczo, opowiadam jak było w istocie.

Pan Franciszek Malewski, nie *znajomy tylko oddawna* Adama, ale jeden z jego najbliższych od młodości przyjaciół; któremu on, między innymi, poświęcił pierwsze poezye swoje; który był nieodstępny jego towarzyszem i współmieszkańcem w Odessie, Moskwie i Petersburgu; p. Franciszek Malewski, po śmierci pani Maryi Szymanowskiej, ożenił się w Petersburgu ze starszą jój córką Heleną. Po urodzeniu się pierwszego dziecka, rodzice zaprosili Adama aby je trzymał do chrztu, przez prokuracyą, w parze z panną Celiną. Zastępcą jego był dawny kolega uniwers., p. Stanisław Morawski. On to—nie sam Malewski, który za życia Adama nigdy w Paryżu nie był, i po rozstaniu się w Petersburgu w r. 1829, już się z nim więcej nie widział; on to przybywszy do Paryża w końcu roku 1833 i opowiadając Adamowi o tym obrzędzie, powiedział *rzeczywiście*, że mu podczas niego przychodziło na myśl, jakby to było dobrze, żeby sam Adam kiedyś stanął przed ołtarz w parze z piękną swoją kumą.” Mickiewicz *rzeczywiście* odpowiedział mu na to z uśmiechem: „Ha! gdyby tutaj była, to kto wie?” Słowa te p. Morawski, za powrotem do Petersburga, powtórzył *rzeczywiście* państwu Malewskim, i oni *rzeczywiście* przesłali je siostrze, która już wtedy mieszkała przy krewnych swoich w Warszawie. Ale panna Celina odebrała je dopiero i właśnie wtenczas, kiedy już z innych powodów była prawie na wyjeźdnem w podróż do Paryża. Towarzyszyła w niej bowiem krewniej swojej, pani Guerin, udającej się tamże w interesach własnych. Nie w skutek więc tych słów Adama „*wyprawiono Celinę do Paryża*”, jak się szanowna autorka *Kroniki Zagranicznej* wyraża, ani téż nikt téj rzeczy „*nie ukartował w kraju*”, jak mówi p. L. Siemieński w życiorysie Adama, a coś i ty sam, szanowny redaktorze, we wstępie do Merzbachowskiej edycji dzieł jego powtórzył. P. Siemieński zaraz wprawdzie dodaje: „*że śmierć żona, od Boga przeznaczona.*” Ale jeśliż w tym razie sam zbieg okoliczności usprawiedliwia niejako to przysłowie; to czyliż w samym tym zbiegu nie należy dopatrzeć raczej wskazówki woli

Opatrzności, niż tylko skutku rachub czy układów ludzkich? Wiem to wszystko z ust samego p. Stanisława Morawskiego, który był w Dreźnie wracając z Paryża, i z ust samej panny Celiny, która téż przez dni kilka w tém mieście, razem z krewną, w przejeździe do Paryża bawiła. Przybyła zaś tam przez Wrocław, nie *wstępując bynajmniej do Krakowa*. Jakie mogła mieć w sercu tajemne nadzieje, może nawet z powodu owych słów Adama; o tém nie wiedział i nie mógł wiedzieć nikt, prócz chyba, komu je sama chciała przez przyjaźń powierzyć. Ja pierwszy zawiadomiłem listem Adama o blizkim jej przyjeździe z Dreznia, o czém przedtém zgoła nie wiedział; a w ogłoszonych drukiem listach jego do mnie, znajdują się dalsze szczegóły o zawarciu małżeństwa, które nie pierwéj, nie z góry, lecz się dopiéro ułożyło w Paryżu. Tu jeszcze i to dodać należy, że Adam wyjeżdżając z Petersburga w roku 1829 nie zostawił panny Celiny ani „dzieckiem”, ani „dziewczątkiem”, ale już siedemnastoletnią i rzeczywiście „prześliczną” (jak mówi p. Siemieński) panienką. W pierwszych moich „Listach z Podróży,” pisanych z Petersburga do Juljana Korsaka, znajduje się opisanie ostatniego wieczoru, który Adam z nią przed wyjazdem w domu jej matki przepędził. (*Kronika Rodzina, Rok pierwszy, Nr 6*).

A. E. O.